

ROZWAŻANIA

PSA MAFA

I JEGO PRZYJACIÓŁKI

MARILYN

MONROE



Andrew
O'Hagan

Świat Książki

ROZWAŻANIA
PSA MAFA
I JEGO PRZYJACIÓŁKI

MARILYN
MONROE



ROZWAŻANIA
PSA MAFA
I JEGO PRZYJACIÓŁKI
MARILYN
MONROE



Andrew
O'Hagan

Z angielskiego przełożyli
Justyna i Sławomir Studniarzowie


Świat Książki

Tytuł oryginału
THE LIFE AND OPINIONS OF MAF THE DOG,
AND OF HIS FRIEND MARILYN MONROE

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Ewa Adamczyk

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Grażyna Henel

Copyright © 2010 by Andrew O'Hagan
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Sławomir Studniarz 2011

Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2514-4

Nr 45076

Pamięci Margery i Betsy

Wiara służy dowodzeniu nieoczywistych prawd

Rabelais

1

Moja historia tak naprawdę zaczyna się w Charleston, cudownym przybytku światła i twórczej weny, położonym z dala od miejskiego zgiełku w samym sercu angielskich pól. Tego lata było ciepło i ranki ciągnęły się aż do popołudniowej pory, kiedy to do domu trafiała chluba ogrodu – ułożone w donicach kwiaty, którym Vanessa w przyływie natchnienia dawała nowe życie. Zawsze była w pogotowiu, z farbami i ze spojrzeniem, a wpadające przez szklany sufit światło niesło ze sobą palącą obietnicę czegoś nowego. Vanessa miewała dobre i złe dni. W dobre dni wszystkie jej wspomnienia jawiły się w otoczce snu, rozstawiała więc pędzle, bo wiedziała, że nadeszła odpowiednia chwila do pracy.

Działo się to w lipcu 1960 roku. Ogrodnik właśnie wniósł do kuchni tacę z naparstnicami. Kwiaty trzymały się dziarsko, ale ogłuchły od ustawicznego bzyczenia pszczół. Leżałem sobie w koszu obok pieca, kiedy na stole pojawiła się biedronka.

– Staruszek jest wykończony – zauważył owad, drepcząc między okruszkami.

– Zwykle zmęczenie – odparłem. – Filizanka herbaty postawi go na nogi.

Pan Higgins stał ze stołu odrobinki ziemi, która osypała się z kwiatów, a wraz z nią nieszczęsne stworzenie.

– Ależ ten stół upaprany – stwierdził. – Grace! Gdzie postawić kwiaty?

Ludziom nie mieszczą się w głowach cuda. Ich umysły kształtuje siła rzeczywistości, prawdziwe przekleństwo, jeśli chcecie znać moje zdanie. Ale mniejsza o to. Ja miałem to szczęście, że los zesłał mi dwoje malarzy, Vanessę Bell i Duncana Granta, którzy mimo dzielących ich różnic śnili i z pasją uwieczniali otaczający ich świat. I cóż to była za rozkosz dreptać po kamiennych płytach w ogrodzie w Sussex i uganiać się za żółtymi osami, stając się powoli sobą w całej swej krasie, psem, któremu pisane są przygody w obcych krajach i który ma za zadanie opowiedzieć tę historię.

Każda kulturalna osoba powinna wiedzieć o przeciętnym psie przynajmniej kilka rzeczy. Po pierwsze, przepadamy za wątróbką, która jest *zizz*, *mniam*, *rump* i palce lizać, po prostu pycha, zwłaszcza podawana z kielbasą. Po drugie, na ogół nienawidzimy kotów, ale nie z powodów, jakie zwykle nam się przypisuje, ale dlatego, że wykazują upodobanie wyłącznie do poezji, nie słyszano bowiem o kocie, który kiedykolwiek wygłosił dłuższą przemowę porządną prozą. Natomiast największy psi talent polega na chłonięciu wszystkiego, co ciekawe – przyswajamy sobie najwspanialsze doświadczenia naszych właścicieli i przechowujemy myśli tych, z którymi się stykamy. Potrafimy sporo przechować i nie dzielimy przy tym w najmniejszym stopniu tej zgubnej ludzkiej skłonności do rozgraniczania rzeczywistości i świata wyobraźni. To jedno i to samo, mniej więcej. Natura dostarcza na to wymownego przykładu, ale ludzie już nie zamieszkują świata natury. Żyją w świecie, który jest wytworem ich umysłów.

Tego dnia wraz z moim rodzeństwem tłoczyłem się wokół trzech misek wystawionych dla nas na podłodze w kuchni, a Grace Higgens stała przy stole upaprana po łokcie mąką. Plotła coś niedorzecznie o swoim urlopie, który niby spędziła w Roquebro-ne. Grace była bystra: wyobrażała sobie, że zwierzęta w jej otoczeniu słuchają każdego jej słowa, i nawet potrafiła się zawsty-

dzić, gdy palnęła coś głupiego, co było z jej strony nie tylko urocze, ale też całkiem mądre. Wśród osób zebranych w jadalni, oddzielonej od kuchni połączyła dywanu z trawy morskiej, najgłośniej zachowywał się z pewnością pan Connolly, krytyk literacki, zwalsty mężczyzna, który pogryzał oliwki i obwąchiwał ciemnoczerwone wino w swoim kieliszku, jakby właśnie zwietrzało. Krzywił się za każdym razem, kiedy go próbował.

– Widzę, że nie smakuje ci to wino, Cyril – stwierdziła pani Bell. – Poproś Grace, żeby przyniosła ci coś lepszego z piwnicy.

– Nawet w czasie wojny – odezwał się pan Grant – Cyril zawsze potrafił zdobyć skądś butelkę przyzwoitego wina. Tak, umiał znaleźć wino. I papier na kolejny numer swojego gniewnego pisemka.

Pani Higgins postawiła mnie na stole. Polizałem ją w łokieć. Pisnęła z zadowoleniem i pochyliła się, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu w czajniku i poprawić fryzurę.

– Nie da się ukryć, okropny z ciebie czarusz – powiedziała. – Stworzony do tego, żeby czarować, co? Ale nie tak bystry jak te z poprzedniego miotu. Tamte psiaki to były mądrale. Mądrzejszych nie spotkałam. A jakie śliczniutki. Widać było po nich, że pochodzą z porządnej hodowli. Sam Walter to przyznał. Tak, tak. Przynoszą zaszczyt swojej rasie, powiedział. Piękne miały oczy.

Osoby małowówne, kiedy już otworzą usta, mogą liczyć na to, że ich słowa będą skwapliwie przytaczane. Podobnie rzecz się miała z Walterem.

Pani Higgins pogłaskała mnie po nosie.

– Ależ ty jesteś ładniutki, tak. Najładniejszy. Mmm-hmmm. Rozpieszczą cię w tej Ameryce, mogę się założyć.

Pani Higgins miała na głowie cały dom, gotowała i sprzątała; na pewno cenila sobie to, że przebywa pod jednym dachem z artystami, ale wyczerpywał ją zamęt, jaki wносиły ich bujne osobowości, ich pożycie małżeńskie i reszta spraw. Od samego myślenia

o tym, co zaprzęta ich myśli, nachodziła ją ochota, żeby położyć się i odpocząć. Oczywiście, miała swoje zdanie i nie bała się go wypowiadać, a kiedy postawiła mnie na stole, od razu dojrzałem dowód na to, że lubiła się poskarżyć: jej mały brązowy pamiętnik, otwarty i dumnie spoczywający na kuchennym blacie. To pani Higgens wpoila mi uznanie dla bóstw domowego ogniska, ta doświadczone strażniczka garderoby, ta Helena od zakalców, która pewnie popsuła sobie wzrok przez te czterdzieści lat starań, aby zapewnić tym artystycznym duszom beztroski żywot. Grace usiadła, otarła brzeg filiżanki i podniosła notatnik. Na pierwszej stronie napisane było: „Grace Higgens, Charleston, Firlle”. Kiedy przerzucała kartki, na nowo przeżywała całe swoje życie, zdarzenia opisane na równi z nieopisanymi*. Śmiech dochodzący z jadalni współgrał z unoszącym się w kuchni zapachem cynamonu.

Pani Higgens nie miała talentu do gotowania. Zawsze zaglądała do pudła, w którym trzymała wycinki – przepisy wydarte z „Timesa” czy z „Daily Express”, wyblakłe z upływem czasu, zakurzone, przyprószone mielonymi przyprawami i sproszkowanym jajkiem. (W tym samym pudle przechowywała w czasie wojny maski przeciwgazowe). Pani Bell z rezygnacją odprawiała rozpaczliwy rytuał udawania przed Grace, że jej obiady są jadalne. Ja natomiast uważam, że nikt tak jak ona nie potrafił dogodzić psu, a wspomnienie jej kuchni nie opuszczało mnie jeszcze długo po tym, jak zawładnął mną amerykański styl życia.

Tego dnia w kuchni czyniono nadzwyczajne starania, nie na cześć sąsiada, pana Cyrila Connolly’ego, który był częstym i zwykle narzekającym gościem w Charleston, ale na cześć madame Gurdin, amerykańskiej miłośniczki psów, znanej rosyjskiej emigrantki i matki Natalie Wood, hollywoodzkiej gwiazdy. Nigdy do końca nie rozgryzłem powiązania między nią a panią Bell, ale

* Jako pamiętnikarka, pani Higgens wykazywała wyraźne skłonności do minimalizmu. 5 lutego: „Kupiłam kremówki z prawdziwym kremem śmietankowym”.

sądzę, że skierował ją tu ten miły pisarz pan Isherwood, dowiedziawszy się od pana Spendera, że ogrodnik państwa Bell kupuje rasowe szczeniaki od hodowców. Madame Gurdin zwykła mawiać, nieco górnolotnie, że psy tego świata to jej życiowa misja i wielka pasja.

Kiedy przechodziłem przez jadalnię, pani Bell mówiła cichym głosem:

– Quentin dziwił się, że Virginia tak bardzo chciała wiedzieć, co czują psy. Ale ona chciała też znać uczucia wszystkich ludzi. Pamiętasz Pinkera?

– Psa, którego dostała od Vity Sackville? – spytał Connolly. – Pamiętam go doskonale. Wyglądał zupełnie jak Vita. Jestem pewny, że Virginia napisała powieść *Flush*, żeby zakpić z Lyttona. Sami znamienici przedstawiciele epoki wiktoriańskiej, a najznamienitszy z nich okazuje się spaniel Browningów.

– Pochowali Pinkera w sadzie w Rodwell – oświadczyła Vanessa, muskając palcami nadgarstki, jakby wcierała perfumy.

Gdy w grę wchodzi rodowód, każdy pies wart swojej stawy to istna kopalnia wiedzy na ten temat. My maltańczyki – *bichon maltais*, biszony maltańskie czy po prostu terriery maltańskie, daliśmy się poznać jako arystokraci psiego świata. Mój wielki krewniak zasłynął jako wierny druh Marii, królowej Szkocji, inny zaś zaskarbił sobie szczodre względy Marii Antoniny. Zналиśmy mędrców i tyranów, maczaliśmy noski w atramencie w pracowniach uczonych i we krwi na polach bitewnych, a Publiusz, rzymski gubernator Malty, przygarnąwszy mego dalekiego kuzyna Issę, nakazał namalować mu portret, który miał w sobie więcej życia niż oryginał. Tak przedstawiają się nasze dzieje, z których czerpiemy też swą dewizę. Kiedy z czasem poznałem o sobie prawdę, kiedy zrozumiałem, że moi uwiecznieni przez sztukę krewniacy są nie mniej ważni niż historia zapisana w komórkach mojego ciała, domyśliłem się od razu, że jestem potomkiem skupionego pieska na obrazie *Wizja św. Augustyna* Vittorego Carpaccia. Nic nie ujdzie

uwagi najmniejszego ze wszystkich psów. Braliśmy udział w bohaterkich kampaniach toczonych w basenie Morza Śródziemnego, w wojnach religijnych, sadzali nas sobie na kolanach złooczyńcy i święci, przekazywały nas sobie książęce rody całej Europy wraz z małżeńską przysięgą. Lizaliśmy buty Charlesowi Edwardowi Stuartowi, tragicznej postaci, i doczekaliśmy się, ze swej strony, potomstwa w domach Eduarda Pasquiniego i hrabiny di Vaglio, hrabiego Anselma Bernarda de Pescary i księżnej de Palestryny. A gdy nasłani przez hanowerską dynastię skrytobójcy zgładzili księżęta wraz z ich psami, brat księcia i jego szczeniaki wznegli się w rodzinę Dalvray, później zaś w rodzinę de Monpertigen i księżnej de Lannoy. Z tego ostatniego związku narodził się syn, który po latach, wraz z małżonką Germaine Elize Segers de la Tour d'Auvergne przybył promem do szkockiego miasteczka Leith, zabierając ze sobą szczenięta, a wśród nich mojego przodka Muzziego. Niebawem Muzzy poznał pełnokrwistą maltańską suczkę pod balustradą na Heriot Row, dokładnie naprzeciwko domu Roberta Louisa Stevenzona, którego kuzynka Noona kiedyś ich oboje pogłaskała*. To ich szlachetni potomkowie w drugim pokoleniu zostali przeniesieni z Edynburga w szkockie góry, gdzie kolejne mioty wzrastały w warownym dworze, który wznosił się na końcu alei srebrnych jodeł.

Mój rodowód był nieskazitelny, a pomyślność zapewniona, gdy przyszedłem na świat w Aviemore w kuchni Paula Duffa. Mój pierwszy właściciel, choć żył z uprawy ziemi, miał bujną wyobraźnię, żarzący pęd do wiedzy i łatwość wysławiania się. Ów pan Duff z Aviemore i Kingussie, wybitny umysł i zagorzały trocista, którego nie trzymały się pieniądze, miał matkę, wspaniałą

* Cała rodzina Stevenzonów żywiła sympatię do psów. W najwcześniejszym z zachowanych listów, napisanym przez siebie własnoręcznie, RLS czule wspomina swego psa Coolina. Trzy lata później, wysłany do szkoły z internatem, wciąż pamięta o swoim psie, czemu daje wyraz w liście do matki: „Mam nadzieję, że Coolin jest zdrow i że otrzymam od niego kolejny list”.

staruszkę, zwolenniczkę Stalina, z którą kłócił się do upadłego, aż oboje robili się purpurowi na twarzy. Pani Duff była legendą robotniczego ruchu w Glasgow Red Clydeside, ale nosiła się jak dama. Rodzina mówiła o niej Kolubryna, a to wskutek tego, że przepadała za babką, racuchami i plackami ziemniaczanymi. Miała okropny, afektowany głos i mimo podeszłego wieku nadal opychała się dżemem jeżynowym. Niech jej ziemia lekką będzie, staruszka uwielbiała mojego pradziadka Phiza, a następnego dnia po zamachu na Trockiego w Meksyku podobno umościła mu kosz czerwoną flagą. Nigdy by mi przez myśl nie przeszło, że pewnego dnia odwiedzę willę, w której zginął Trocki, ale nie uprzedzajmy wypadków. Duffowie byli pierwszymi ludźmi, z jakimi zetknął mnie los, i przekonuję się, że przesiąknę ich zwyczajami, kiedy byłem oseskiem, tymi wieczornymi debatami, gdy Duff i Kolubryna rwali na strzępy prozę świata, plując na siebie okruszkami niczym pociskami i grożąc likwidacją połowie ludzkości. Mówię „likwidacją”, bo tak właśnie ujęłaby to pani Duff. Słowo „śmierć” czy „martwy” nie przeszłoby jej przez gardło i ja też w rezultacie unikam tych słów jak ognia. Mrużyła rozjarzone oczka, jakby miała oznajmić coś wstydliwego, i mówiła:

– Jeśli coś mi się przytrafi, polisa jest w kredensie nad czajnikiem. Wykupiłam ubezpieczenie na życie, oto, do czego doszło. Ale ty musisz na siebie uważać. Coś przydarzyło się panu McIverovi, który mieszkał po drugiej stronie góry, i pochowali go na koszt parafii.

– Coś mu się nie przydarzyło – odparł Paul. – Po prostu umarł.

– Daruj sobie te okropności. Ależ te psy wyją, Paul. Jestem pewna, że się nam przysłuchują.

Duffowie, matka i syn, nigdy niczego się nie dorobili, ale nie rozpaczała z tego powodu. Radzili sobie, prowadząc tradycyjne szkockie gospodarstwo. Nie twierdzę, że wyrosłem na gnojowski, ale moje początki nie przedstawiały się zachęcająco. Zabło-

cona kuchnia. Zatęchły salon. Paul, hodowca psów z zamiłowaniem do whisky i wczesnej powieści europejskiej, obrabiał pole, czytając na ciągniku książkę*. Wieczorem wracał do domu z ogorzałą twarzą, gotów znów upić się niemal do utraty przytomności. Jego ulubionym aktorem był Cantinflas. Paul naoglądał się starych, społecznie zaangażowanych filmów w czasach, kiedy mieszkał w Glasgow.

Ale odbiegam od tematu. (Skłonność do dygresji to nasz kolejny zwyczaj). Wiosną 1960 roku Paul potrzebował trochę grosza i sprzedał nasz cały miot ogrodnikowi z Charleston, który lubił wyjeżdżać na urlop do Szkocji w poszukiwaniu szczeniąt i pędów roślin. Ogrodnikiem tym był nikt inny jak Walter Higgens, mążzonek mojej serdecznej przyjaciółki pani Higgens. Wybrał się do Szkocji, żeby kupić szczeniaki z rodowodem, i trafił na nas w Aviemore. Niedaleko farmy Duffów przyszedł na świat pan Grant – my wszyscy wydaliśmy z siebie pierwsze tchnienie w krainie whisky i tartanu. Zaletą pana Higgensa była umiejętność słuchania. Wszyscy z nas, na swój sposób, potrafili mówić. Przypuszczam, że w Bloomsbury panował zwyczaj snucia bez końca barwnych wywodów, co stanowiło współczesną wersję klasycznego upodobania do retoryki. Wysławianie się było dla mnie rzeczą naturalną, jak zresztą dla wszystkich zwierząt, ale wiedzieć, jak i kiedy nastawić uszu, to był prawdziwy dar. Walter Higgens słuchał wszystkiego i rzadko się odzywał; to była pierwsza rzecz, jaką zaszczerpiono mi już wtedy, w drodze przez góry, niziny i zasnuwane mgłami hrabstwa.

Siadłem i spojrzałem na panią Higgens. Pokręciłem przymilnie głową, a ona poklepała mnie i pogłaskała po mordce. Z zacisniętymi ustami próbowała otworzyć starą puszkę herbaty.

* Lubiał pisarzy, którzy spędzali dużo czasu pod gołym niebem. Defoe, Smollett, Orwell. Mawiał, że pisarz, którego nie pociąga przygoda, powinien znaleźć sobie inne zajęcie, na przykład robienie na drutach.

– Pani Gurdin powiedziała mi dziś rano, że często przyjeżdża do Europy i zawsze zabiera ze sobą do Ameryki szczeniaki. Znajduje im nowe wspaniałe domy w Kalifornii.

Pani Higgens mówiła to, spoglądając na mnie wzrokiem pełnym politowania dla siebie, jak u ludzi, którzy wyobrażają sobie, że życie innych jest o wiele ciekawsze. Wreszcie udało jej się zdjąć wieczko i wyjąć z puszek obrożę, która rozsiewała mocny zapach skóry długo moknącej na deszczu.

– Swego czasu Walter zajmował się psami, w Rodwell też. Tę obrożę nosił Pinker. W tej rodzinie nie możesz liczyć na wielki spadek. Pan Grant ma już siedemdziesiąt pięć lat. Nie jesteśmy bogaci. Ale Vita dała tę obrożę pani Woolf, a teraz będziesz ją nosił ty.

Zmniejszyła obrożę, skracając ją o kilka oczek. Następnie zapięła mi ją na szyi z namaszczeniem, które Anglicy zachowują na okazje przyprawiające ich o pomniejsze wzruszenie, a ja z radością przyjąłem historię tej obroży, która teraz stała się moją własną.

2

Jak ktoś kiedyś powiedział, prawda rzadko jest oczywista a nigdy prosta, lecz w tym przypadku było inaczej. Madame Gurdin rzeczywiście zabrała mnie do Londynu, gdzie spędziliśmy noc w Savoyu, a potem wsadziła mnie do samolotu linii Pan-American, który leciał do Los Angeles. Zostałem umieszczony razem z innymi szczeniakami w egzystencjalnej próżni zwanej ładownią. Później poddano nas kwarantannie w nowo wybudowanym ośrodku niedaleko Griffith Park, a z pobliskiego zoo dochodziły porykiwania słoni. Kilka lat później, kiedy wracałem myślą do tego okresu, przypomniało mi się, jak Zygmunt Freud po przyjeździe do Londynu usychał z tęsknoty za jednym ze swych ulubionych chow-chow, który wabił się Lun i został zamknięty na czas kwarantanny w Ladbroke Grove, podczas gdy wielkiego psychiatrę podejmowano na salonach w Hampstead. Uwięziony w tym ośrodku w Los Angeles, rozpaczliwie pragnąłem mieć właściciela, który by za mną tęsknił. To różni nas od koni. Ja chciałem do kogoś należeć, ponieważ bycie czyjąś własnością wyzwala psa. Marzyłem o osobie, która by mnie pokochała, ale jeszcze nie znałem jej imienia.

– Mason, Tommy. Popatrzcie na to чудо. Właśnie o takim psiaku marzyłam. Proszę pana, chcielibyśmy kupić tego małego białego pieska.